



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 22 (61)

NIEDZIELA 6 CZERWCA 1943 R.

CENA 20 FLS

WITAMY NACZELNEGO WODZA

Po raz drugi WÓDZ NACZELNY, GENERAL BRONI WŁADYSŁAW SIKORSKI, przebywa wśród żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie.

Gdy przed półtora rokiem po raz pierwszy przybył, by odwiedzić oddziały polskie, znajdujące się poza Wielką Brytanią, nie były one jeszcze razem. Dzieliły je odległość wielu tysięcy kilometrów i zupełnie różne warunki bytu.

Brygada Karpacka stała w Tobruku walcząc na najbardziej wówczas zagrożonym odcinku afrykańskiego teatru wojny. Armia Polska w ZSRR wychodziła dopiero z początkowego stadium swej organizacji.

Dziś obie jednostki, złączone w jedną nierozdzielalną całość, tworzą Armię Polską na Wschodzie, będącą najpoważniejszą częścią sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Armia ta znajdująca się w tej chwili w ostatnim okresie swego długotrwałego i pracowitego okresu przygotowawczego z radością wita WODZA NACZELNEGO, jednoczącego w swej osobie całość polskiego wysiłku zbrojnego w Kraju i na obczyźnie.

Ze swej strony WÓDZ NACZELNY będzie się mógł przekonać, że Armia Polska na Wschodzie jest czynnikiem, który duchowo nie ustępując wartościom moralnym żołnierzy z Francji, Narwiku i Afryki, lotnictwu i marynarce, reprezentuje ponadto największą siłę bojową, jaką Polska rozporządzała od chwili podjęcia walki na obczyźnie.

Ta siła jest dziś niemal, że gotowa i czeka rozkazów WODZA NACZELNEGO, by w chwili właściwej przyczynić się do pomnożenia wkładu Polski w obecną wojnę.

Wkład ten jest już dziś ogromny, a jeżeli chodzi o narody podbite — bezprzykładny.

Nasz samotny, ofiarny, choć z góry na beznadziejność skazany opór we wrześniu 1939 roku dał olbrzymią sumę doświadczeń i osiem miesięcy bezcennego czasu potrzebnego na dozbrojenie mocarstw zachodnich, jak i Rosji Sowieckiej.

A i po wrześniowej tragedii nie brakowało nas w żadnej rozprawie i w żadnym trudzie.

Odbudowaliśmy armię naszą we Francji, potem w Wielkiej Brytanii, teraz tu — na środkowym Wschodzie.

W bojach, które toczyliśmy na obczyźnie nie brakło chwil ciężkich i trudnych, nie było jednak niesławnych.

W chwilach najcięższych postawa WODZA NACZELNEGO, zawsze pełnego niezłomnej woli walki i niezachwianej wiary w triumf sprawiedliwości, była drogowskazem dla żołnierza i narodu.

Dziś, gdy po nocny klęsk coraz wyraźniej wschodzą świty zwycięstwa żołnierz polski na Wschodzie wita WODZA NACZELNEGO składając mu meldunek gotowości bojowej i życzenia rychłego, zwycięskiego marszu do Polski.



Gen. broni Władysław Sikorski

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

...GRANICE BOWIEM USTALONE W RYDZE NIC WSPÓLNEGO NIE MAJĄ Z HISTORYCZNYM STANEM POSIADANIA POLSKI NA WSCHODZIE, GDYŻ SĄ COFNIĘTE W PORÓWNIANIU Z NIM O KILKASIEĆ KILOMETRÓW WSTECZ...

GEN. WŁADYSŁAW SIKORSKI

(„Polska i Francja w przeszłości i dobie współczesnej”, Lwów 1931; str. 113 — 114)

WÓDZ NACZELNY na Wschodzie



Kilka minut przed
wylądowaniem samolotu
gen. Władysław Sikorski
z ministrem Casey'em.



Po wylądowaniu
gen. Naczelnego
wita się
z gen. Andersonem.



Gen. Naczelnego
rozmażuje
z gen. Andersonem
i gen. Klimeckim.



Por. W. O. P. Kowalski

Naczelnego Wódza 'gen. broni Władysław Sikorski przybył we środę 26 ub. m. drogą powietrzną do Kairu. Naczelnemu Wódzowi towarzyszyli m. in.: szef III oddziału Sztabu Głównego płk Marecki, ppłk armii brytyjskiej Cazalet oraz córka Naczelnego Wódza ppor. Leśniowska.

Na lotnisku oczekiwali przybycia Naczelnego Wódza m. in.: brytyjski minister stanu R. G. Casey, dowódca Armii Polskiej na Wschodzie gen. Anders, minister R. P. Załuliński, szef Sztabu Głównego gen. Klimecki, gen. brytyjski Braumont - Nesbitt, przedstawiciel brytyjskiego Ministerstwa Stanu i Ministerstwa Informacji, amerykański oficer łącznikowy ppłk Szymański oraz grono wyższych oficerów polskich i brytyjskich i dziennikarzy wojskowych.

Wysiadłszy z samolotu Naczelnego Wódza zamilkł kilka słów powitalnych z oczekującymi go na lotnisku osobistościami, po czym odjechał do jednego z hoteli kairskich.

W ciągu pierwszych trzech dni swego pobytu w Kairze, Naczelnego Wódza odbył szereg długich rozmów z gen. Andersonem i z ambasadorem R. P. Tadeuszem Romerem.

W dniu 27 ub. m. Naczelnego Wódza wziął udział w obiedzie, wydanym przez ambasadora brytyjskiego w Egipcie lorda Killearna i jego małżonkę.

W dniu 28 ub. m. był wraz z gen. Andersonem na obiedzie u brytyjskiego ministra stanu R. G. Casey'a.

r. f.

MOTYWY RODZINNE

DROGA

W kurzu rozbitym wybuchła południem
Kryjąc się nagle w zaułkach zakrętu.
Czasem się wozem rozperli, rozdudni —
Ucicha w zieleń nabożnie świętą.
Deszczem podmyta oddaje nam trudy
Ciężkiego życia w dotyku i ruchu,
Nieraz przystaje zmartwiała na grudach
I cierpi z ludźmi w czas zawieruchy.

LIĄKA

Wstęgą wytrysła i kwiatów fontanną
Bierze w objęcia motyw ścieżyny...
Roznosi płomień pod otka w nadrannej
Kurzawie rosy, co pachnie winem.
Podchodzi w ciepłe i patrzy jaskrami.
W spienionej bieli nagrzanym rumianków
Potok w puch kwiatny ukrywa ramie —
— I dalej leci, pod woń macierzanki.



S T A W

Wczoraj spoglądał w pędzące obłoki,
Dzisiaj — zakochał się w wierzbach nadbrzeżnych
I ucichł w transie zadumy głębokiej
Biorąc miłości wzajemną należność.
Kiedyś wieczorem rozhucał koncertem;
W szale podwieczerek pogubił na gwiazdach —
Kiedy w tęsknocie przybrzeżnych serpentyn
Kończyły się nagle młodzieńcze podjazdy.

NIEDZIELA

Razem, w gromadzie wychodzi z kościoła
Spod bieli ołtarza i nawy słonecznej.
Gdzie pachną obrusy, kadzidła i ziola,
A w cieniu organów skupia się wieczność.
I młodych pełno — i wszędzie świeżość.
Powietrze dzwoni. Rezedy się bieta...
Niebo rozpięte w kościelnych wieżach
Spływa od rana młoda niedziela.

Zywina Józef

O BEZPIECZEŃSTWO ŚWIATA



Głównodowodzący lotnictwem sprzymierzonych w Afryce północnej Tedder ogląda zniszczony bombowiec niemiecki

Stefan Tyszkiewicz

SPRAWY POLSKIE

Przejęcie obrony interesów polskich w Rosji przez poselstwo Australii, co żołnierz polski przyjął z dużym zadowoleniem ze względu na łączące go braterstwo broni z Australijczykami, świadczy, że pewien okres stosunków polsko-sowieckich zakończył się ostatecznie i że na razie do wznowienia wymiany dyplomatów między obu krajami nie dojdzie.

Niemcy rozpoczęły nową walkę, na razie propagandową z Watykanem, oskarżając papieża Piusa XII o współudział w sprowokowaniu obecnej wojny przez swe bezwzględne wystąpienia wobec narodowego socjalizmu. Radio watykańskie odpowiedziało już na te absurdy, które zapewne są zapowiedzią nowej fali wystąpień antykościelnych Trzeciej Rzeszy.

Papież natomiast mianował swego charge d'affaires przy rządzie polskim w osobie delegata apostolskiego w Anglii, arcybiskupa Godfrey, co powiło naprawić anormalne stosunki, jakie stwarzała nieobecność nuncjusza apostolskiego przy Prezydencie Rzeczypospolitej.

OSWIADCZENIE

Trafili do rąk naszych numer pi-semka pod tytułem „Salus Reipublicae suprema lex”. Jasne jest, że ani byśmy chcieli, ani mogli dążyć do zmonopolizowania tego szczytnego hasła. Przeciwnie, uważamy jego jak najszerze rozpowszechnienie, zrozumienie i przyswojenie za wielce pożyteczne dla podniesienia poziomu naszej wspólnej pracy i naszego życia. Powtarzając wszakże to samo hasło w każdym numerze „Orła” i w każdej audycji radiowej, musimy się liczyć z tym, że czytelnicy nasi, w których ręce trafiłoby wspomniane pismo, mogliby widzieć we wspólności hasła jakiś związek owego pisma z „Orłem”, tym bardziej, że jest ono datowane „Bagdad w maju 1943 r.”.

Dlatego wyjaśniamy kategorycznie, że ani tygodnik „Orzeł Biały”, ani Drukarnia Polowa, ani żadne inne komórki Wydziału Informacji i Oświaty nie tylko nie wydają pisma „Salus Reipublicae suprema lex”, ale z wymienionym wydawnictwem nie mają nic wspólnego.



Żołnierze niemieccy wzięci do niewoli w Tunisie przed transportem do obozów

Młodość młodego POKOLENIA

Przemiany społeczne

Doniosłość sprawy postawienia techniki życia na właściwym miejscu jest oczywiście szczególnie wielka dla narodów silnie uprzemysłowionych. Narody rolnicze zdolały jeszcze na szczęście większość swej ludności zachować bez zgarbacenia, jakie przynosi jednostronność materialnej cywilizacji, tym niemniej i dla nich układ rzeczy w inteligentkim, miejskim środowisku jest decydujący dla charakteru kultury narodu na dalszą metę.

W kompleksie pilnych przemian społecznych dla narodów żyjących w kulturze europejskiej, należy postawić zaraz obok sprawy poprzedniej zagadnienie przywileju kształcenia na inteligenta i sytuacji materialnej tegoż inteligenta. Dziś — gdy zdobycie minimum egzystencji jest stopniowo coraz łatwiejsze, gdy do tego minimum włącza się coraz więcej wymagań, które jeszcze wczoraj za niezbędne dla życia ludzkiego nie uchodzily, gdy wreszcie skromny poziom egzystencji ludzkiej zapoznaje w znacznym miarze z tym, jaka jest kategoria uciech i jaki styl życia materialnego najbogatszych ludzi — wówczas ostrość poczucia kryzysu z racji podziału bogactw ulega naturalnemu przypięciu, rozbija się również nateżenie życia co do skali użycia. Natomiast urok życia umysłowego, jego nieznanne, inne radości, dostęp do władzy, rezerwowany tylko dla kształconych, wreszcie automatycznie wiązany z sytuacją inteligenta lepszy poziom życia materialnego — te wszystkie przywileje inteligentnie stają się, stawiać się muszą przedmiotem szczególnych pretensji, jako dobro nierówno, niesprawiedliwie rozdysponowane.

Oto dawna, podstawowa formuła społecznej zawiści „On ma, a ja nie; on bez pracy tonie w nieznanym mi przepychu, ja głodem przymieram pracując na siebie i niego” — zmieniła się w dużej mierze w społeczeństwach kulturalniejszych na skargę: „Przed prostym człowiekiem zamknięto wszystko, słucha i pracuje jak wół, to oni inteligenci zachowali sobie całą władzę, urządzają świat jak swoją wygodzie, nawet dzieci nasze nie przekroczą naogół tej bariery, jaką jest wykształcenie”.

Jeżeli zawiżdziemy cywilizacji naszej znaczne złagodzenie nienawiści z tytułu bogactwa, to równocześnie z goryczą trzeba stwierdzić, że stosunek do przywileju wykształcenia rozwinął się jak najgorzej. Przynamy otwarcie, że spowodowały ten stan rzeczy ciężkie winy, które inteligencja musi sobie przypisać.

Ustalmy kilka niewątpliwych chyba twierdzeń. Naturalnie rozważać tu będziemy przeciętny, normalny tok szkolnego formowania inteligenta, nie interesując się z osobna ani tym, że jest pewien procent półgłówek, gdzie „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu”, ani tym, że istnieje ścieżyna tworzenia się inteligentów poza szkołą z ludzi wybitnych zdolności i wielkiej energii. Otóż:

1) Posiadanie wykształcenia, zwłaszcza wyższego, zapewnia możliwość przeżycia swego życia w sposób o wiele rozleglejszy i pełniejszy. Świadomość intelektualna została przycięta do odcowania ze światem

na płaszczyźnie generalizacji zjawisk i poszukiwania syntez. Dostępne stało budowanie swego światopoglądu, odczuwalną radość wyodrębnienia swego myślowego „ja” we wszechświecie. Posiadający zasadnicze cechy inteligenta przechodzi człowiek w sposób niewątpliwie do grupy cieszącej się ambicją organizowania życia ludzkiego — porzucą słotyczną masę prostych wykonawców zleconej pracy.

Przewiduje tu zarzut, że skłonność do syntetycznego ujmowania świata, jak i poryw do roli organizatora życia nie nie mają wspólnego z wykształceniem, że są one indywidualne itd. Otóż gdybyśmy nawet najbardziej stawiali na te „wrodzone skłonności”, to to, że ludzie pracy fizycznej nie tylko nie mają pomocy w przygotowaniu się do poważniejszego myślenia, ale nie mają na to przygotowanie czasu. To tylko materialem dla inteligentów ma ów przywilej być utrzymywany przez społeczeństwo już w okresie swojej dojrzałości przez 7—10 lat, kiedy nie tylko gromadzi wiedzę, ale przede wszystkim formuje swoje myślenie — i o tym właśnie przywieju poniżej.

2) Kształcenie na inteligenta jest wkładem, jest znaczną ofiarą ze strony społeczeństwa na rzecz swojej przyszłości, ofiarą składaną do rąk małej grupy jednostek. Przyjmowanie tej ofiary i tego zaufania nakłada ogromne zobowiązania.

Wysiłek każdego narodu na lepsze przygotowanie młodego pokolenia ograniczony jest możliwościami gospodarczymi. Naturalnie, bierzemy pod uwagę nie samą tylko kosztowność prowadzenia zakładu naukowego, jakkolwiek i ta pozycja w przeliczeniu na każdego kończącego jest b. znaczna, ale także cały ów koszt społeczny istnienia „studenta”. Dla naszych rozumowań jest to obojętne, kto go utrzymuje: rodzina, stypendia publiczne, czy kredyty zaciągane na rzecz przyszłych zarobków — tak czy owak społeczeństwo rezygnuje z doraźnej wartości pracy młodego obywatela i długi szereg lat utrzymuje go z pracy innych. Do biegu lat należy liczyć nie same studia akademickie, przeważnie 5—8 lat trwające, ale także co najmniej 2 lata przygotowania w liceum ogólnokształcącym. W ten sposób czas od 7—10 lat, w kwiecie sił, gdyż zwykle między 17 a 30 rokiem życia, pozostawiony jest do wykorzystania. Grupa młodzieży objętej tym przywilejem wynosi gdzieś około 1% młodzieży stającej w tym wieku do pracy. Nie zapominam o tym, że między kandydatami na inteligentów, oprócz tej „zabezpieczonej” grupy istnieje także znaczna gromadka, która nie posiadając ani środków, ani pomocy porywa się o własnych siłach, zarobkuje, przerywa studia, znowu wraca; w tej szarpaninie, ponad młode siły, daleka jest od spokojnej możności wykorzystania czasu — i w rezultacie w ogromnej większości do brzęgu nie dobiega utykając po drodze na półinteligentnym zarobkowaniu. Otóż

dla prostoty rozumowań, tej grupy po prostu nie biorę w rachubę, jakkolwiek ona także jest niewątpliwie ważnym i skomplikowanym problemem społecznym.

3) Stwierdzeniem trzecim będzie, że przygotowany inteligent wchodzi w życie zarobkowe z wielkimi ułatwieniami. Często jest z góry przewidziany do uprzywilejowanej, kierowniczej pracy i obejmuje ją raczej za wcześnie. Często z ramienia państwa otoczony jest opieką, korzysta jako urzędnik z wymuszonego autorytetu i zapewnionej stałości egzystencji, lub nawet w wolnym zawodzie pracując przynależy do grupy o monopolistycznej ochronie patentowanych — prawnik, lekarz, inżynier itd. — co naturalnie ułatwia zarobek i podnosi jego skalę. A zatem równie dobrze „start” jaki przebieg kariery zarobkowej faworyzowane.

Jeżeli powyższe konstatacje istotnie za bezsporne uznamy, to na ich tle przypomnienie tego, jak realnie w życiu polskim np. ułożone były uprawnienia i pretensje inteligenta, wyglądać będzie b. jaskrawo. Najbardziej powszechnie sytuacja zasadnicza była odwrócona: nie społeczności należały się wszystko od inteligenta, skoro mu otworzono inne, lepsze życie i ułatwiono obfitsze zarobki, ale jemu należały się wszystko od zbiorowości, skoro był laskaw się kształcić i ma być specjalistą. Praca odpowiedzialna ma się mu dostać zaraz, patent ma w znacznej mierze starczyć i za wyrobienie, rola kierownicza ma mu przypadać niejako z przeznaczenia samego, nawet bez wykazania, że się panuje nad daną specjalnością lepiej od innych.

Wymagania zarówno co do bieżącej skali wynagrodzenia, jak i co do zabezpieczenia przyszłości, wcale nie są opierane na stosunku porównawczym, a więc jakimś uwielokrotnieniu tego, co zarabiają nieinteligenci, tylko wynikają z przewidzienia o wyższej konieczności zaspokojenia potrzeb inteligenta tak, jak on to uważa za właściwe, a więc np. w zbliżeniu do stopy życia ziemian, czy przemysłowców, czy zaradczych fachowców itp. Pracownicy publiczni nie kontentowali się zabezpieczoną im emeryturą, a głosili konieczność takich wynagrodzeń, by mogli uzbierać na starość — czyli zabezpieczenie podwójne, wówczas gdy poza nimi, nie było w ogóle ubezpieczenia na starość. Na pewno wielomówiącym jest ten przykładzik, że inteligentowi nawet lata jego studiów uniwersyteckich były liczone do emerytury!

Gdy dodamy, że nasze metody szkolenia inteligenta, wyraźnie przeznaczanego na zwierzchnika, wcale nie podejmowały zadania pouczenia go, czym jest człowiek i jego zbiorowe życie i jaka winna być jego — inteligenta — rola, że często już na tym tle tle wywarzał się stosunek nieufny i zły — to będziemy mieli z gruba zarysowany smutny obraz całości problemu w jego dotychczasowej postaci — bez jutra.

Jakże inaczej stałaby sprawa, gdyby na miejsce narastającej zardzości i wyszarpywania sobie materialnych korzyści, na miejsce cynicznego po-

glądu, że walka o te dobra, to dziejowa konieczność — została wytknięta droga programowa, chociażby doraźnie trudna, ale poczęta z myśli rozwiązania problemu, a nie oportunistycznego zawieszania broni między walczącymi.

Ze w tym sporze o dostęp do władzy, o wyższą skalę życia duchowego — ofiarny idealizm musi być reprezentowany właśnie przez inteligencję, to jasne, ale przecież nasza inteligencja, w swej czolowej grupie, ma wiele skłonności do podejmowania nawet bohaterkich zadań. Chodzi o to, aby w koło pewnego pionierskiego stylu życia inteligenta w twardej służbie społecznej, skupiał się bezsporny wyraz uznania, jak dla wielkiej pracy narodowej.

Aby sprawa istotnie tych cech nabrała, należy usunąć z horyzontu zajęcia kwestiami materialnymi, a postawić jako jedyną wielkie zadanie, godne nowego okresu kultury — osiągnięcie tego, by znikł wewnątrz społeczeństw podział na dwa różne światy: inteligentki i tzw. ludzi prostych. I nie ma się roztopić dotychczasowe zróżniczkowanie w jednym sosie pośredniego poziomu, tylko wyraźnie: poziom i wartości życia inteligentkiego stać się mają dobrem powszechnie dostępnym.

W odwiecznej walce między i bogactwa nie posuwał naprzód sprawy, kto odrębne istnienie tych dwu światów uważał za naturalne i konieczne, zbliżał zaś rozwiązanie tylko ten, kto składowe części bogactwa wyrzywał z posiadania grupowego i przesuwał ku wszystkim, aż w kulturze europejskiej spór się stepił i będzie łagodniał.

Tak i w tym drugim wielkim konflikcie społecznym o dobra intelektualne, jest człowiekiem przeszłości, kto nie porzucił założenia, że inteligentki świat musi zachować swą odrębność i stanowić kastę wtajemniczonych. Chodzi o to, by ludzie jutra, ufnie w wielkie przemiany społeczne, zdolni wierzyć, że przywilej inteligentki już może być upowszechniany — podjęli wysiłek przyspieszenia realizacji.

Wspomniałem już, iż wielkiej wagi ułatwieniem byłoby oddzielenie sporu o materialne wyposażenie inteligencji od sporu głównego, o przynależność do inteligencji. Aby w opinii publicznej oddzielić te rzeczy zdecydowanie, nie wystarczy proste pozostawienie rąk państwa, by cne ukróćając bogactwo się w ogóle, również skutecznie likwidowały materialne przywileje inteligencji. Trzeba by inteligencja sama nie spieszyła się do dorobku, przeciwnie — by na serio podjęła hasło skromnej prostoty życia. Istnieje już dziś spora garść inteligencji, dla której poza zapewnieniem codziennej egzystencji na poziomie skromnego życia mieszczańskiego naszych czasów — sprawa materialnego posiadania przestała być interesującą. Sądzę, że ta postawa może być znakomicie rozwinięta na tle pojmwania swoich zobowiązań wobec społeczeństwa właśnie w imię pozyskania wielkiej swobody własnej w całym zagadnieniu i w imię zdobycia prawdziwego wpływu.

(Dokończenie na str. 5)

TYGODNIK

przebieg

W DNIU 28 MAJA ZAKOŃCZYLI SIĘ OBRADY angielsko-amerykańskie w Waszyngtonie, wydaniem sensacyjnego krótkiego komunikatu, stwierdzającego w suchym zdaniu, że „ostatnia konferencja połączonych sztabów w Waszyngtonie zakończyła się całkowitym porozumieniem co do przyszłych operacji na wszystkich frontach”. Dowiedziano się ponadto, że komunikat został ogłoszony tylko w imieniu prezydenta Roosevelta bez obciążania odpowiedzialności p. Churchilla, który kilka dni przed tym składał tchnące wiarą i zapalem oświadczenie przed przedstawicielami prasy. Podając powyższy lakoniczny komunikat do wiadomości publicznej sekretarz Białego Domu — p. Early dodał wczelwato: „To jest wszystko, co nam do powiedzenia. Plany zostały zmienione”.

Powściągliwość, a nawet tajemniczość sfer oficjalnych w Waszyngtonie była do przewidzenia, lecz ponosiła tak daleko świadczą, że chciano tam uniknąć słów niepotrzebnych i może wskazać, że przechodząmy do czynów, które prawdopodobnie niejednemu zaskoczą. Nie należy bowiem wyłączać różnych niespodzianek.

Deklaracja premiera Churchilla, ministrów Edena i Attlee, jak i komentarz korespondenta Reutersa w Ameryce o uchwałach waszyngtońskich nie pozwalają mieć wątpliwości, że rozpoczyna się krytyczny okres wojny — z czym zgadza się w swych ostatnich wystąpieniach również Goebbels, o czym świadczy i wzmagaająca się ofensywa lotnicza na Niemcy i Włochy. Powstaje dlatego pytanie, kto pierwszy i gdzie uderzy.

JAKIE SĄ PLANY SOJUSZNIKÓW? Waszyngtoński korespondent Reutersa wymienił na pierwszym miejscu wzmocnienie nalotów na „osi”. Istotnie codzienne wiadomości dostarczają nam coraz bardziej wymow-

nych danych na ten temat. Trwa wielka ofensywa powietrzna na Zagłębie Ruhry. Po Dortmundzie przyszła kolej na Düsseldorf, który w czasie nalotu otrzymał co minutę pięć bomb dwulonowych, po Düsseldorfie na Essen, na które zrzucano już ogółem 10.000 ton bomb, po Essen zabrano się po raz pierwszy do ośrodka przemysłu chemicznego w Zagłębiu Ruhry — Wuppertal, którego obdarzono w pierwszym nalocie ładunkiem 1.500 ton bomb. Po-

nadto bombardowano miejscowości w samych Włoszech m. in. Livorno i Foggie. Niemcy w swoich rozgłoszeniach stwierdzali posepnie, że możliwości obronne Włoch przed nalotami są słabe i że „nie jest rzeczą możliwą wnieść bariery nie do przebycia z dział plot i myśliwców wzdłuż rozległych wybrzeży Italii”.

TEORETYCY OBLICZALI, że gdyby Niemcy otrzymywali 30 000 ton bomb miesięcznie musieli by po kilku miesiącach prosić o pokój. W kwiet-

Z OSTATNIEJ CHWILI

Oświadczenie Naczelnego Wodza

Po przybyciu do miejsca postoju dwu A. P. W. generał Sikorski złożył następujące oświadczenie:

Jestem szczęśliwy, że znalazłem się wśród żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie aby poznać ich pracę i troski. Przekazuję im serdeczne pozdrowienia, jakie za moim pośrednictwem przesyła im Prezydent RP. Żołnierze polscy, gdziekolwiek są, stanowią jedną całość, tak oni w Kraju, jak my tuaj, jak i ci w Wielkiej Brytanii. Na lądzie, morzu i w powietrzu walczymy krocząc drogą wskazaną nam przez wielki w tej walce Naród o nową, sprawiedliwą dla swych wszystkich synów wielką Polskę. Trudności są duże. Polska ma wielu potężnych wrogów. Przemოżemy ich zachowując jedność dotychczasową.

Żołnierze! W najbliższych dniach spotkam was osobiście. Dzisiaj przez waszego dowódcę przesyłam wam serdeczne pozdrowienie żołnierskie.

WŁADYSŁAW SIKORSKI
gen. broni

nado bombardowano Jenę i znajdujące się tam słynne zakłady optyczne Zeiss'a.

Na południu Europy rozwijają się działania zaczepne lotnictwa skierowane zwłaszcza na wyspy Pantelarii, Sycylii i Sardynii. Włosi przyznali, że musieli ewakuować stolicę Sardynii — Cagliari z ludnością cywil-

niu zrzucono na nie 11.000 ton bomb, lecz w maju ciężar ich wzrósł znacznie. Myślę wszakże byłoby — naszym zdaniem — mniemanie, by naszymi nalotami można było złamać potęgę militarną Niemiec. Prawdopodobnie Niemcy przeniesli już część swego przemyłu wojennego z zachodniej Rzeszy do Austrii, Czech i na Węgry dostosowując się do nowej sytuacji.

Macchina militarna Hitlera będzie mogła być pokonana jedynie w działaniach lądowych. Waszyngtońskie doniesienia Reutersa przewidują też taki rozwój wydarzeń. Po okresie bombardowania nastąpi najzd na Europę, przy czym sojusznicy zamierzają uderzyć w różnych punktach i jednocześnie. Kiedy to nastąpi? Korespondent Reutersa oczywiście tego nie powiada, wymienił wszakże pewną datę twierdząc, że okres letni zostanie wykorzystany dla ustalenia przewagi produkcyjnej sojuszników. Przewiduje on ponadto, że natarcie będzie skierowane na rzenię Bałkany przy jednoczesnym uderzeniu na Francję. Natomiast ze względu na warunki topograficzne ofensywa nie objęłaby odciętych od Niemiec Alpami Włoch z wyjątkiem oczywiście Sardynii i Sycylii.

Niemcy widocznie zdają sobie sprawę z zagrożenia na Bałkanach, skoro przystąpili do generalnej ofensywy przeciwko gen. Michajłowiczowi. Obecność na Bałkanach Rommla i trzymanie tam 25 dywizji włoskich świadczą również o troskach „osi” związanych z tym odcinkiem frontu europejskiego.

Zapowiedzią przygotowaną inwazji na Europę jest także zjednoczenie wysiłków Francuzów walczących przeciwko „osi”. Po długich pertraktacjach, gen. de Gaulle przybył

wreszcie w dniu 30 maja do Algeru, powitany tam przez gen. Giraud. Obaj wodzowie powołali w mieście Algerze, w prowizorycznej stolicy Francji wolnej, tymczasowy rząd pod wspólnym ich kierownictwem. Władza jego rozciągałaby się na całe rozległe imperium kolonialne Francji z wyjątkiem Indochin, które poddały się Japonii oraz Martyniki i innych francuskich posiadłości na zachodniej półkuli, które wciąż twują przy rządzie Pétaina.

Francja chce być zatem gotowa również pod względem politycznym, na dzień uderzenia na jej okupowane ziemie na liryście. Przyłączenie się francuskich okrętów wojennych w Aleksandrii, po blisko trzyletniej bezczynności, do sił sprzymierzonych, jest tego dalszym dowodem.

WZMOŻENIE WALK NA MORZU będzie zapewne dalszym symptomem przygotowujących się wydarzeń. Morski korespondent „News Chronicle” zapowiadał, że „zbliżają się najważniejsze w historii operacje morskie”. Zadaniem flot alianckich będzie wysadzenie desantów na ląd europejski i podtrzymanie ich działań. Według doniesień tego pisma pancerniki brytyjskie w otoczeniu lotniskowców, krążowników, kontrtorpedowców zajęły już punkty strategiczne na morzach. Anglia od początku wojny nie była tak silna na oceanach jak obecnie. Wszystkie zastopione pancerniki i krążowniki zostały zastąpione, a ilość kontrtorpedowców i okrętów podwodnych jest dziś większa niż była w chwili wybuchu wojny.

NAD FORTECĄ HITLERA I MUS-SOLINIEGO gromadzi się więc burza. Min Eden ostrzegł po raz ostatni ludność włoską, że od niej tylko zależy, czy będzie nadal znosiła bombardowania brytyjskie. Minister zapowiedział, że Anglia walcząca będzie z Włochami „nieubłaganie”, przy czym przypomni, jak to Mussolini prosił Hitlera o przywilej udziału w bombardowaniu Londynu, jak Goering „pożerał oczami” burzenie Warszawy i Rotterdamu i jak w Niemczech tworzono filmy z tych dzieł zniszczenia. Wicepremier Attlee ze swej strony zapowiedział, że nikt nie zdoła skłonić Anglii do odstąpienia od planu bombardowania Niemiec i Włoch. A premier Churchill mówiąc w Waszyngtonie przypomniał, że sprzymierzeni „przygotowują wojnę totalną, która prowadzić będzie do bezwarunkowej kapitulacji Niemiec... Poźniejszą machiną wojenną aliantów uderzać będzie z rosnącą siłą... Pod koniec pewnego okresu osiągniemy tak wielką przewagę w produkcji niektórych rodzajów sprzętu, zwłaszcza samolotów, że — jeśli chodzi na przykład o wojnę lotniczą — produkcja ta stanie się czynnikiem rozstrzygającym”.

CO UCZYŃA W TEJ SYTUACJI PANSTWA „OSI”? Czy przetrząda ofensywa, czy zwykłe w tym okresie roku? Czy też sprawią niespodziankę i ograniczą się tylko do obrony? Wiadomości z Rzymu świadczą, że Włochy faszystowskie myślą tylko o defensywie. Zdeydowane są one bronić Sycylii i Sardynii za wszelką cenę. 100.000 min strzeże dostępu do brzegów Italii. Mussolini gorączkowo gromadzi wojska na wyspach. Propaganda jego pracuje nad podnoszeniem ducha ludności.

Niemcy przygotowują również swój kraj „na bardzo ciężkie chwile”. Org. n Goeringa, „Essener National Zeitung” przyznawał, że siły lotni-

(Dalszy ciąg na str. 6)

(Dokończenie ze str. 4)

U tzw. ludzi trzeźwych, czy na urzęd rozsądnych napotykalmy na zdanie, że wszelkie dążenia społeczne oparte na ograniczaniu się, na prywatności — jak oni mawiają „na ascezie” — są jałowe, gdyż rachunek im wykazuje, że zaoszczędzone wartości są dość drobne w skali potrzeb społeczeństwa. Opieranie swego poglądu w tej sprawie na mierzniach gospodarczych byłoby fatalnym błędem, są tu bowiem w grę ogromne wartości moralne.

Inaczej, czystziej i szlachetniej może się rozwijać i rozwiązywać ten konflikt społeczny, jeżeli przedmiotem zawisłi wobec inteligencji będzie jej stan kultury duchowej, jej udział w życiu zbiorowym.

Zupełnie inny będzie też wpływ inteligencji na życie całe, gdy zdoła siebie niemal wyłączyć ze sporu o podział bogactw.

Oczekiwane przemiany społecznych, które towarzyszy wojnie, ma zatem przed sobą do rozwinięcia wspaniale i nowe zagadnienia.

Oto upomnieć się o naturalne prawa człowieka do pełniejszego życia, obronić go przed dalszym okaleczaniem jednostronnością pracy, wyłączyć go z grupy materialów, którym operuje inżynierska ręka. A przy tym ustawić należy też twardą inżynierską rękę na właściwym miejscu. Musi ona porzucić marzenia o kie-

rowaniu światem, o urabianiu ludzi na potrzebę swych maszyn, natomiast winna pojąć rzetelnie swą służbę ludzkości, a do tej służby musi być serio przygotowana przez właściwe społeczne kształcenie.

Oto narastającej i niebezpiecznej fazy walki społecznej walki z przywilejami i wszechwładzą inteligencji — nadać charakter walki o powszechność przywileju „Inteligencji”, obronić ceną grupę społeczną od skutków, jakie by mogło przynieść koncentrowanie na niej walki o bogactwa — obronić odsuwając ją od tych bogactw i zachowując jej w ten sposób moralne prawo p. zoddowictwa.

Ciężkie przeżycia wojenne, które w ojczyźnie naszej przyniosły wspaniałe przejawy wzajemnej pomocy i braterstwa całej ludności, mogą stanowić wymiennie to do budowania na przyszłość, na trwałe, innego niż dotychczas układu stosunków społecznych. Przemiany, o których mówimy, warte byłoby najwyższego wysiłku — albowiem jest oczywiste, że gdyby społeczeństwa europejskie mogły ich dokonać, to kultura europejska założyłaby swój okres uboższej człowieka przewagi cywilizacji materialnej i weszła w okres nowy — prawdopodobnie nacechowany większą równowagą między sprawami ducha i materii.

Zaw.

Walczące Chiny pozdrawiają walczącą Polskę

~ Korespondencja własna „Orla Białego”

W Kairze bawiła niedawno chińska misja wojskowa przy armiach sprzymierzonych Środkowego Wschodu i Afryki północnej. Jest to pierwsza misja tego rodzaju, jaką marszałek Czang Kai Szek wysłał na pozazjatyckie fronty walki. Jest ona złożona z czterech wyższych oficerów. Wszyscy czterej to żołnierze wybitni, doświadczeni, znający doskonale armie sprzymierzone i ich dowódców.

Szefem misji jest generał-major Hu Hsien-Cziin, dowódca jednej z dywizji zmotoryzowanych V armii chińskiej. Brał on czynny udział w walkach przeciw Japończykom od samego początku wojny obecnej, tj. od roku 1937. Walczył pod Szanghajem, następnie w prowincji Hopei, dowodził w Yunnanie 69 dywizją, stał na czele chińskiego korpusu ekspedycyjnego, który walczył w Birnie u boku armii brytyjskiej.

Pozostali trzej członkowie misji to: generał-major Lam Wai-Czing, szef biura administracyjnego lotnictwa, pułkownik Liu Fang-Czii i major Ilwang T's-Pao. Wszyscy trzej kształcili się poza granicami Chin: pierwszy w Rosji i Stanach Zjednoczonych, drugi — w Japonii, trzeci — we Włoszech.

Generał Hu Hsien-Cziin, który przyjął mnie w mieszkaniu jednego z dyplomatów chińskich w Kairze, jest człowiekiem stosunkowo młodym. Może mieć około czterdziestki. Typowa chińska twarz, otwarta i inteligentna, włosy na jeża, skromny mundur koloru khaki z jedną gwiazdką generalską na kofnierzu, kilka wstążeczek orderowych na piersi — oto generał Hu.

Mówimy najprzód o wojnie chińsko-japońskiej. Generał Hu jest jak

najlepszej myśli. „Wszystkie cztery ostatnie ofensywy japońskie — mówi mi — przeprowadzone w ubiegłym miesiącu z ogromnym nakładem sił w prowincjach Yunnan, Hopei, Kwantung i in., załamały się. Z Yunnanu, gdzie początkowo Japończykom udało się osiągnąć niejaki sukcesy, zostali oni całkowicie niemal wyparci. Również i na pozostałych frontach kontrofensywa chińska pozabawiła Japończyków ich nieznaczących zdobyczy terenowych. Straty japońskie są ogromne, a rezultaty paromiesięcznych wysiłków — żadne. W ogóle, od dwóch lat mniej więcej fronty chińsko-japońskie prawie się ustabilizowały. Japończycy rozproszyli swe wojska na tak wielkich przestrzeniach, że siła ich uderzenia znacznie zmalała. Poza tym spokoju im nie dają partyzanci chińscy, w których rękach znajdują się praktycznie nawet prowincje chińskie, okupowane nominalnie przez najezdźców. Właściwie Japończycy panują tylko nad większymi miastami, niektórymi liniami kolejowymi i drogami wodnymi oraz wybrzeżem morskim. Wszystkie próby Japończyków, aby zmienić ten stan rzeczy, zakończyły się żalosnym, fiaskiem. Wszystkie ich usiłowania zdobycia dalszych terytoriów chińskich miały taki sam rezultat. Trzeba podkreślić, że dzięki pomocy sprzymierzonych armia chińska jest dziś daleko lepiej uzbrojona i zaopatrzona, niż przed dwoma laty. Jednakże... powiedzmy otwarcie, że sprawa uzbrojenia, a ściślej mówiąc dostaw jest nadal pięta achillesowa naszej sytuacji. Trudno sobie wyobrazić, na jakie przeszkody natrafia transport materiałów wojennych dla armii chińskiej. Wszystkie trzy drogi, którymi normalnie szły trans-

porty do Chin, są obecnie przecięte. Mam tu na myśli linię kolejową Hong-Kong (Kowloon) — Kanton — Hankau, kolej Hsifong (Indochiny) — Yunnanfu i wreszcie drogę kołową, której używaliśmy ostatnio, tzw. drogę birmańską. Nie tracimy nadziei, że droga birmańska zostanie odzyskana w najbliższym czasie, ale trzeba podkreślić, że jest to sprawa pilna i nie cierpiąca zwłoki. Zagadnienie dostawy materiału wojennego dla Chin musi być rozwiązane. Jest to dla nas w chwili obecnej zasadnicza i najbardziej żywotna kwestia. Trzeba to wciąż powtarzać i pisać.”

Mówimy o Polsce. „Opinia chińska w kraju — stwierdza generał Hu — jest o sprawach polskich doskonale poinformowana i żywo interesuje się nimi. Naród chiński żywi największy podziw dla bohaterstwa narodu polskiego, który pierwszy podjął walkę przeciw nazistowskiej

agresji. My, Chińczycy, którzy od tylu lat walczyliśmy o naszą wolność, rozumiemy lepiej niż ktokolwiek inny istotę walki narodu polskiego. Nasze dzienniki piszą często o generale Sikorskim. Wiemy o utworzeniu Armii Polskiej na Wschodzie, która pod dowództwem generała Andersa stoi gotowa w pustyni Iraku. Mam nadzieję, że w drodze powrotnej do kraju uda mi się odwiedzić wasze wojska.

„Armia chińska, walcząca już szósty rok bez przerwy o wolność swego kraju i o najwyższe ideały człowieczeństwa, pozdrawia za moim pośrednictwem armię polską, walczącą o te same ideały. Jesteśmy pewni, że żołnierze polscy pod kierownictwem swych dzielnych dowódców, powrócą zwycięsko w niedługim czasie do wolnej, szczęśliwej i potężnej Polski.”

Roman Fajals

O KRAJU MÓJ!

„Mon pays sera mes amours
toujours!” (Chateaubriand)

Płynę do ciebie po nocy,
Kraju mój, śpiewny, uroczy,
Tam chmurki drżały z kłiwością
A wiatr kołysał serdecznie —
O Kraju mój, tyś mą miłością
Wiecznie.

Tam był nasz dom i olszyny,
Cerkiewka stara i młyny,
I bzy w lilowej poświecie,
O których pieśni mówili,
Ze najpiękniejsze są w świecie —
Bo były.

Tam — tajemnicze moczary,
I cmentarz, przy nim dąb stary,
I napoleoński gościniec,
Zarosły czasu wikliną,
Mówiono o nim, że płynie,
Bo płynął...

Poeci przeszli tamtędy,
Zmienili ziemię w legendy,
Gdzie spojrzeć, tam wschodzą słowa,
Gdzie dotknąć, tam harfa jęknie,
O moja ziemię widmowa,
Snij pięknie.

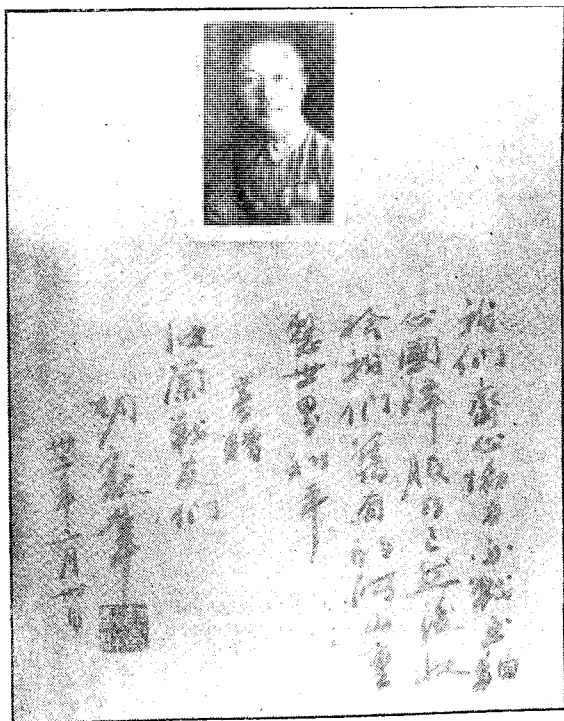
Każdy skądś przecie pochodzi,
Ten z Krymu, ten z Walii, ten z Łodzi,
A ja pochodzę od młodu
Z białośpiewnego ogrodu,
Z doliny, z olszyn i z rzeki
Dalekiej.

Można mnie stamtąd wyrzucić,
Można mi kazać nie wrócić,
Można mnie z żywych wymazać,
Wygnać, przepędzić za płoty.
Ale jak można zakazać
Tęsknoty?

Nie martwy księżyc tam wraca,
To cień mój wodę ożłaca,
Nie woda w młynie tam szumi,
To żal mój śpiewa, jak umie
I woła gorzką pociechą,
Jak echo.

I płynę, płynę po nocy
Do ciebie, Kraju uroczy,
Tam chmurki drżały z czułością
A wiatr kołysał bezpiecznie —
O Kraju mój, tyś mą miłością
Wiecznie.

Stanisław Baliński



TEKST OŚWIADCZENIA GEN. HU HSIEN-CZIINA

Ramię przy ramieniu będziemy walczyć jak jeden mąż z jednym tylko celem na oku — pokonania „osi”.
Po zwycięstwie ugruntujemy podstawy naszych krajów i znowu odbudujemy pokój świata.

najstarszy KODEKS ŚWIATA

Wyprawa Napoleona do Egiptu, chociaż była wojskowym fiaskiem, przyniosła triumf francuskiej nauce. Dzięki Champollion'owi, który potrafił odczytać hieroglify starożytnych Egipcjan, uzyskano dostęp do dzieł ich pradawnej kultury. W ciągu XIX w. ponawiano z bogatymi często wynikami francuskie wyprawy naukowe na Wschód.

Taka wyprawa podjęta w 1897 r. do Suzy, stolicy starożytnej Persji, dla zdobycia materiału do badań nad poprzednikami Persów Elamitami, natrafiła w 1901 r. na dużą bryłę bazaltu. Kierownik wyprawy zwrócił na nią okiem od niechcień i nagle wzbudziło się w nim zainteresowanie: kamień był zapisany klinowym pismem babilońskim.

Po kilku dniach kopania znaleziono jeszcze dwa odłamy tego samego bloku. Wszystkie trzy dały się łatwo złożyć w kolumnie, kształtu podługowatej głowy cukru, pokrytą z tyłu i przodu pi-mem klinowym. Nieporównany znawca tego pisma, stary profesor v. Scheil, zabrał się natychmiast do pracy i odczytał tekst wypisany na kolumnie. Okazało się, że był to zbiór przepisów prawnych, wydanych przez króla Babilonu Hammurabiego, który panował od 2123 do 2080 r. przed Chr., czyli przeszło 4000 lat temu.

Nie znając papieru pisano wówczas w Babilonie na glinianych cegielkach, dość kruchych, przezo Hammurabi chcąc mieć „kwiążkę” jak najtrwalszą sprowadził wielkim kosztem z daleka bryłę bazaltu, którego w jego państwie nie znalazłbyś w lekarstwie i na niej kazał wykuć swój kodeks.

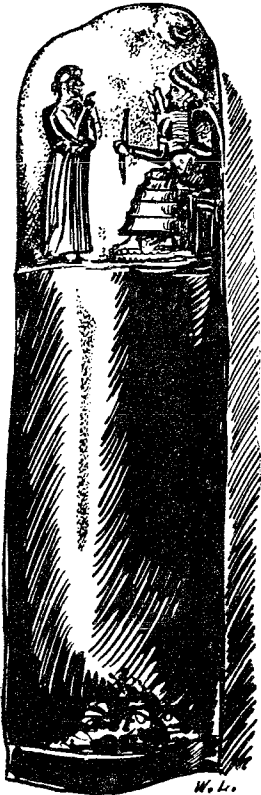
Poszło na to wiele trudu i bryłek srebra, ale się opłaciło. Kodeks przeznaczony początkowo dla świątyni w Sippara (obecnie Abu Hubba w p. bliżu Bagdadu), zdołał ją zrzucić przez lat tysiąc, aż został zrabowany przez Elamitów i przywieziony do ich ówczesnej stolicy Suzy, prawdopodobnie już jako cenny zabytek starożytności. Po dalszych trzech tysiącleciach, przewieziony do Francji, jest jednym z najcenniejszych skarbów muzeum Luwru, jeżeli go dotąd Niemcy nie zabrali! Odlew Kodeksu Hammurabiego możemy oglądać w Muzeum Irackim w Bagdadzie.

Cóż nam mówi ten kamień, gęsto zapisany pismem klinowym?

Hammurabi panował w Babilonie 43 lata. Zjednoczył kraj, rozbił pierwotnie na kilka państweczek, a nawet podbił i przyłączył doń Asyrię. Był niewątpliwie wielkim władcą i przychylił się do ugruntowania potęgi i dobrobytu swego państwa. Był świetnym wojownikiem, a także, co bywa nieraz trudniejsze, świetnym administratorem i prawodawcą. Jedyną dla całego państwa kodeks był poważnym ugruntowaniem jego wartości, a zarazem wiązał z państwem jego obywateli. Dzięki niemu nawet niewolnik znalazł się pod opieką prawa — rzecz niebywała na owe czasy, a trzeba przyznać, że w naszym chrześcijańskim średniowieczu pan feudalny na oświeconym zachodzie Europy nogi ze swym poddanym bezkarnie czynić, co mu się podobało.

Praca nad Kodeksem zajęła Hammurabiego prawie całe życie. Powstał zbiór praw złożony z 282 artykułów. Wyziera z nich życie tego pradawnego organizmu państwowego, który żył bez pieniędzy (w postaci monetarnej), bez papieru, bez policji na autach pancernych, bez tylu wynalazków późniejszej techniki. A jednak był to okres rozkwitu Babilonu, gdy dzięki zabezpieczeniu granic i nadwoniomom cały obszar między Tygrysem i Eufratem był dobrze zagospodarowany, a ludność była wielokrotnie liczeńska niż jest dzisiaj.

Naród dzielił się na trzy odrębne klasy: arystokrację, ludzi wolnych i niewolników. Arystokracja miała większe prawa, ale też i więcej od niej wymagano. Jak wynika z Ko-



deksu, jeśli zdarzyło się arystokracie, że ukradł komuś wół, osła, czy owcę — obowiązany był zwrócić 30-krotną wartość przedmiotu kradzieży, gdy od wolnego człowieka nie-arystokracji wymagano tylko zwrotu 10-krotnej wartości. Jeżeli złodziej nie ma czym zapłacić za szkodę — zostaje nabyty.

Nie spotykamy w Kodeksie Hammurabiego kary więzienia. Za cięższe przestępstwa stosowano kary pieniężne, za cięższe — karę śmierci. Tu po raz pierwszy spotykamy znany nam z prawa Mojżeszowego zasadę „oko za oko, ząb za ząb”: jeżeli mąż wolny wybił zęby mężowi tej samej klasy — jego własne zęby mają być wybite. Jeśli jednak uczynił to mężczyźni niższej rangi lub niewolnikowi — płaci karę pieniężną,

której wysokość Kodeks określa na każdy wypadek. Jeżeli ktoś uderzy wyżej od siebie stojącego — ma otrzymać 60 batów. Gdy jednak niewolnik uderzy syna arystokraty, jego ucho zostaje obcięte.

Połączenie niewolnika wszędzie było ciężkie, ale w Babilonie miał on więcej praw niż gdzie indziej. Mógł posiadać własność i żenić się z wolną kobietą, a dzieci z takiego małżeństwa były wolne. Jeżeli odwrótnie, wolny człowiek miał dzieci z niewolnicą, nie miał prawa ich sprzedać, a po jego śmierci tak dzieci, jak ich matka były wyzwalane. Niewolnik mógł wykupić swą wolność, a cegiełki-książki notują też wypadki wyzwolenia niewolników dzięki dobreci ich panów.

Kodeks otacza szczególną opieką rolnictwo. Stanowiące o jego rozwoju kanały nawadniające są budowane przez władców i bogaczy, którzy wzmian za dostarczoną rolnikowi wodę otrzymują pewien procent zbiorów. Gdy ktoś zaniedbał umocnienia tamy wzdłuż swego pola, a woda przetrwała ją i zalała cudze pola niszcząc zbiory — leniuch musi zapłacić za zniszczenie szcze.

Bardzo szczegółowe są przepisy dotyczące dzierżawy gruntów. Kodeks oznacza czynsz za każdy „gan” w bryłkach srebra lub w miarach zboża, zwanych „gur”. Czynsz za dzierżawę sadu daktylowego wynosi aż 2/3 zbiorów — tłumaczy się to okolicznością, że dzierżawca wkłada tu bardzo niewiele pracy.

Straty wskutek zniszczenia zbiorów przez burze ponosi sam dzierżawca, jeżeli uiszczył czynsz z góry. Jeśli jednak miał płacić zbożem oddając 1/3 lub 1/2 zbiorów, wtedy obie strony w tym samym stosunku uczestniczą w stratach.

Lichwa była wzbroniona. Pożyczano na procent wg taryfy królewskiej, przy czym prawo chroniło tak dłużnika jak i wierzyciela. Za dług niezapłacony można było zająć i sprzedać nie tylko dobra dłużnika, ale i jego samego. Pragnąc zachować wolność mógł dłużnik oddać w niewolnictwo żonę i dzieci, hy odpracowały dług. Nie stawały się jednak zupełnymi niewolnikami i po trzech latach wierzyciel musiał im zwrócić wolność, choćby nie odzyskał jeszcze całego długu. Gdyby zaś ktoś z nich umarło na skutek przepracowania w niewoli u wierzyciela — jego własni członkowie rodziny mają być zabici, a dług — skreślony. Ze jednak mimo tych zastrzeżeń pożyczanie w niewolę na trzy lata nie zawsze uśmiechało się babilońskim panom, miały prawo wymówić w warunkach ślubnych, że nie odpowiadają swą osobą za hulanki i dług męża.

Rodzinę otoczono opieką. Małżeństwo było sprawą poważną. Umowę ślubną spisywano na pokaznej cegiełce, opisując dobro wniesione przez pannę młodą do domu małżonka. Uczowano potem kilka dni, aż uroczysta procijsza z panną młodą w wilonie i bogatym stroju udawała się do domu pana młodego. Prezenty i posag niesiono na tacach, by wzbudzić zazdrość sąsiadów. Nawet niewolnicy maszerowali w nowym odzieży. Po wejściu młoda para klękała wobec zebranych gości,

brała się za ręce i pan młody oświadczał: „Jestem synem wielkiego męża. Srebra i złota nasypię ci do podółka. Będziesz moją żoną, a ja twoim mężem. Uczynię tę kobietę podną jak palma daktylowa”. Wśród powszechnej radości młoda para udawała się do izby małżeńskie, gdzie w zupełnym odosobnieniu przebywała 5 — 6 dni.

Zasadą było jednożonstwo. Kodeks przewiduje jednak możliwość pojęcia drugiej żony. Wierność jest wysoko ceniona. Niewierna żona ulega utępieniu wraz ze współnikiem wiarołomstwa. Śmierć jest także karą za zwałczenie. Jeżeli mąż dostał się do niewoli, a żona mając środki utrzymania poszła do innego — zastępuje na utępienie; jeśli jednak udowodni, że nie miała z czego żyć — jest wolna od kary, ale po powrocie męża ma do niego wrócić. Jej dzieci z drugiego małżeństwa zostają przy ojcu.

Mąż miał prawo rozwieść się z żoną, lecz w praktyce zwykle wstrzymywał go od tego obowiązek zwrotu posagu i wypłacenia dość znacznej sumy rozwiedzionej małżonce.

Ojciec nie miał prawa wydziedziczyć syna bez bardzo ważnych powodów, które muszą być uznane przez sąd. Gdyby syn uderzył ojca — ręce mają mu być obcięte. Gdyby miał stosunek kazirodzy z matką — oboje ulegają spaleniu. Obcięcie języka lub wyjęcie oczu grozi za wyparcie się adoptowanych rodziców, a kara śmierci — za ukradzenie cudzego syna.

Chociaż żelaza jeszcze nie znano, Hammurabi miał silną, dobrze zorganizowaną i karną armię, uzbrojoną w miedziane oszczypy, także tarcze i helmy. Każdy żołnierz dostawał od króla grunt, z którego utrzymywał się z rodziną. Gdy dostawał się do niewoli, sam starał się o środki na okup, nie wolno wszakże oddawać na ten cel domostwa, pola lub ogrodu. Gdy nie ma innych środków, wykupuje go świątynia. Żołnierz, który zamiast iść na wojnę wynajął sobie zastępcę, czeka kara śmierci, jak i przelężonego, któryby się na to zgodził. Ziemi królewskiej ani dodano go do niej inwentarza żołnierz sprzedać nie może, a odziedziczyć ją może tylko syn, który także wbrał karierę wojskową. Jest to więc raczej użytkowanie niż własność.

Osobne przepisy regulują prawa i obowiązki kupców i rzemieślników, budowę łodzi i domów, nawet naj m zwierząt pociągowych. Znajdują się w Kodeksie i taksy na leczenie obok kar za leczenie niemiejnie, i prawa dla wdów i sierot i przepisy dla kapłanek, których jest aż 5 klas.

Mojżesz opracowywał swe prawo w 700 lat po Hammurabim, nie więc dziwnego, że Kodeks babiloński, znany i ceniony na całym Wschodzie, posłużył mu za wzór. To też między obu prowadzawstami istnieje duże podobieństwo. Z 32 postanowień Księgi Przymierza 21 jest w zgodzie z Kodeksem Hammurabiego, inne nie odbiegają zbyt daleko. Niektóre są niemal identyczne. Poprzedzając Biblię, prawo Hammurabiego wywarło wpływ na rozwój całej kultury chrześcijańskiej

„PANCERNIACY Z KRAJU MAGÓW”

Gdzieś pod n. stopniem gorącej szerokości, w miejscach, gdzie istniał ongi „rzekomo” raj na ziemi i spacerowali magowie asyryjscy z fryzowanymi brodami, pośród zawieruch, w temperaturze bliskiej sterylizacji — rozłożył się płócienny obóz. Jeden z wielu szablonowych obozów, tym się różniący od innych, że powiewa nad nim biało-czerwona flaga. Jest jeszcze jedna rzecz szczególna: oto gdy się do tego obozu zbliżymy — słychać już z daleka niestanny warkot. Jeżeli podejdziemy bliżej — to zobaczymy wreszcie słowe potworki na gąsienicach. Wszystkie, wzięte razem, nosi nazwę Brygady Czołgów. „Polish Army Tank Brigade” — nazywają ją z szacunkiem Anglicy.

Taka jest logika faktów, że o broni pancernej mówić trzba inaczej, niż o każdej innej. Mówić trzba w obliczu wspomnień klęski militarnej, przez nią właśnie nam zadanej, w obliczu gotującego się odwetu, o którym marzymy, aby go dokonały właśnie polskie formacje czołgowe. Tu, na Wschodzie, broń pancerna nabiera specjalnej wymowy. I nie potrzeba tu nawet wytartych frazesów w rodzaju: „nowoczesna husaria”, czy „towarzysze pancerni”, albowiem każdy kłpiek rozumie i odczuwa ciężar gatunkowy określeń zupełnie nowoczesnych, nierozmazanych taniem romantyzmem, słów twardych, jak pancierz czołgu, chrząszczących, jak jego gąsienice. Brzmia więc w uchu czołgisty, jak szebiotanie kochanki, różne: miotacz dymu, Diesle, zaktładki, zawory redukcyjne, podgrzewacze. Żargon ten zgrzytliwy, a namiętny stał się językiem powszednim naszych „pancerniaków”.

Historia polskiej broni pancernej na Wschodzie zaczęła się w Rosji, po podpisaniu układu z Sowietałami. Zaczęła się panuro i dla tamtejszych stosunków stereotypowo: ludzie wymierali masowo z głodu i epidemii. Część jednak wytrzymała. Byli między nimi i żołnierze, którzy w różnych formacjach pancernych armii polskiej brali udział w kampanii wrześniowej. Oni to pierwsi, zorganizowani w Ośrodku Wyszczolenia Broni Pancernej, dali zawiązek Brygady Czołgów. Po wyjściu do Palestyny nastąpił rzecz można „cieplarniane” warunki dalszego tworzenia tej formacji. Warunki te skom-

plikowały się z powodu różnych reorganizacji poprzez które, niestety, każdy oddział przejść musi, zanim okrzepnie i unormuje się w nim życie.

Praca zawrzała w pełni, gdy przybyły nowe ekipy, które przyniosły ze sobą doświadczenie z pól bitewnych niewdzięcznej Francji, z pustych, górzystych przestrzeni Norwegii, i ci wreszcie, co zteknieli się z nowoczesną niemiecką machiną pancerną pod Tobrukami. Przybyli owo, pełni entuzjazmu obcoticzy, dumni ze swego przydziału do takiej formacji — wzmocnili wydatnie jej kadre instruktorską.

Wszystkie te elementy ludzkie i wartości stopiły się w jedną całość i — śmiało rzecz można, kto wie,

jakie to ma kapitalne znaczenie, zwłaszcza, gdy nadchodzi chwila wejścia do akcji.

I pod względem wieku i środowiska żołnierskiego — również z diametralnych różnic — powstały harmonijne całości. Weteran, pozostający z nielicznych przedwojennych oddziałów czołgowych, ten, który w wrześnieju bezskutecznie i z rozpaczą dudoił swoim ckm-em z „Te-Ki”, co wyglądała jak blaszana zabawka dla dzieci — po grubym pancerczu kołosa niemieckiego czy sowieckiego — siedzi teraz pospołu, ramię w ramię, z wyrwanym ze „wschodniego raj” szesnastoletnim młodkosem.

Grzmia działka, rechocą ckm-y, sale namiotowych świetlic rozbrzmie-

torskie” lub „muzyczne” i miła wieczornica gotowa.

A kiedy zwrócony rogami do góry „mahometafski” księżyc, umieszczony jakby na wierzchołku wielkiego, niewidocznego minaretu, ukaze się na niebie, na peryferie obozu j dnej z kompanii wypływa postać grajkasamouka, dziwaka i samotnika. Zawodzi tęsknymi melodiami na skrzypcach, własnoręcznie zrobionych z deszczulek po starych pakach. Struny są z drucików, a smyczek z palmowego gręcika. Te skrzypki — to istne cudo, rezultat prawdziwej benedyktyńskiej pracy, a twórca ich ma niewątpliwie duży talent muzyczny.

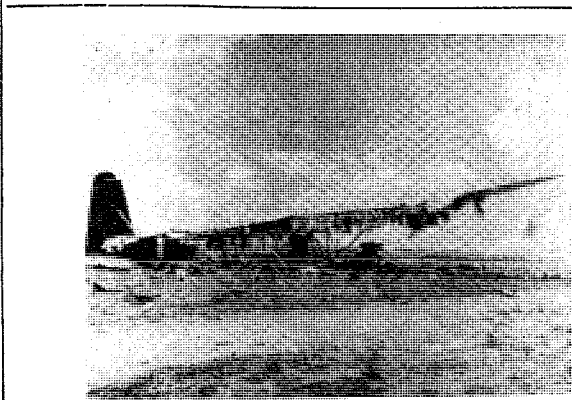
Obóz udaje się na spoczynek. Tylko żołćca się w oddali i k-pcą napelnione płońaczą ropą „znicze” na krańcach obozu. Jutro wstanie znów taki sam dzień i znów stary i młody żołnierz pancerny zacznie pospołu pracę — doskonalać w najnowocześniejszej technice wojennej. Wszelkiego rodzaju kursy i staże, własne i brytyjskie, aplikacyjne i podchorążówki, kierowców i strzelców czołgowych — pochłaniają setki żołnierzy, co wyszli wychodzą i wyjdą z nich jako tędzy specjaliści. Niestety, tajemnica wojskowa nie pozwala w tym miejscu autorowi niniejszego artykułu podać liczbowo osiągnięć w dziale wyszkolenia. Są one imponujące.

Ten wielki zapal w dziedzinie dokształcania, co się tak uwidacznia w wieczorowych zwłaszcza rozmowach świetlicowych, gdzie słowa: panewka, karburator, zaoliwienie — brzmią dla interlokutorów po całodziennych ćwiczeniach, jak wspomnienia rozkosznych przeżyć — wielki ten entuzjazm należy zawdzięczać ściśle przeprowadzonej selekcji materiału ludzkiego, tak aby co najlepszy pod każdym względem ostał się w formacji.

Zyjemy na pustkowiu, z rzadka tylko przetykanym palmą, czy ruinami pomników dawno umarłych cywilizacji. Nasuwa się porównanie. Dla niejednego z nas przemarsz przez obecne kraje był jakby wędrówką właśnie przez pustynię, gdzie — co rok, co miesiąc, co dzień pojawiał się nam bliski, wydawało się, miraż kraju ojczystego. Miraż ów pustynny okazywał się złudny jednak i znów opadał ręce, a rozpacz tłukała się po głowie.

Teraz jesteśmy może nieco bliżej celu. I kiedy żrenica peryskopu, podczas wspinania się czołgu na strome zbocza irackich wadi, nie widzi nic — jeno czysty błękit — może niej dnemu kierowcy wyda się, że mu los przypiał skrzydła w ramion i że jego apokaliptyczny stwór poleciał nad Kraj, gdzie w sadach kwitną krzyże zamiast kwiatów, że jego motor zadudni wreszcie morną pieśnią zemsty i niesionej Wolności.

Jan Lachowicz



Bombowier niemiecki zniszczony w Tunisie

czy Brygada Czołgów nie jest dziś jedną jednostką, gdzie tak dokładnie zatarty się różnice, gdzie indziej przez ludzi małych podnoszone. Tutaj „prawostawni”, „ramzesi” i „lordowie” obalili Wieżę Babel pomieszanych języków zastępując ją poczuciem zespolowego działania, koleżeństwa i rzeczywistej przyjaźni, takiej, która zawiązuje się w czołgu już podczas wspólnych ćwiczeń. Bo załoga wozu pancernego, to — jak mała rodzina. Radiooperator, strzelec, czy kierowca odczuwają wzajemną współzależność, nierozdzielalną, jak w prawdziwym małżeństwie, aż do śmierci.

Nie trzeba chyba tutaj udowad-

wają podniesionym, miarowym głosem wykładowców. Tak schodzi dzień, regulowany sygnałami trąbek: od pobudki do capstrzyku.

Skoro zapanują pierwsze chłody wieczorowe — wntc zaczynają się życie „prywatne” żołnierza. Centrum zebrań towarzyskich stanowią: „gospoda ulańska” i herbaciarnia YMCA, gdzie urodziwe „markietanki”, gwoli unikania słów pospolitych, jak np. „pestka”, zwane eufemicznie „niejadnymi częściami owocu” — roztańczają czary osobiste i nalewają w kubki „sultańskie gorycze”. Jakby powiedział Mickiewicz.

O lepsze idą z tymi gospodami wieczorowe przybytki innych konkurencyjnych baonów. Ciż sami ulani wprowadzili w siebie inowację kulturalną godną jak najszerzego naśladowania, co w rodzaju „uniwersytetu powszechnego”, gdzie podoficerowie słuchają kilka razy w tygodniu ciekawych odczytów i pogadanek. Tematów jest w bród: od „Historii Chaldei” do „Bogaetw naturalnych Polski”, od „Epigonów romantyzmu” do „Jak się robi gazetę”.

Prelegent — to często podchorąży, podoficer lub zgola strzelec. Mundur bez pasków i gwiazdek kryje czasem indywidualny nader mądre, lub głęboko czujące. Kapral inżynier, czy plutonowy — pracownik naukowy — zgola nie są wielką rzadkością. Wzgląd ściśle wojskowy mając na uwadze, powiem, że gdyby taki jegośność znalazł się nagłe na komisji poborowej w Chinach — określony z pewnością jego przydatność fizycznej — jedną z końcowych liter t-m-t:jszego alfabetu, liczącego jak wiadomo kilka tysięcy znaków.

Poza tym, zawsze znajdują się w świetlicy jakieś samorodne „sily ak-

Do artykułu „WALCZĄCE CHINY POZDRAWIAJĄ WALCZĄCĄ POLSKĘ”



Chińscy żołnierze

Wyszły z druku 2 tomy H. Sienkiewicza

„OGNIEM I MIECZEM”

Do nabycia w Wydziale Informacji i Oświaty APW oraz u referentów oświatowych w oddziałach.

Cena za tom 100 fls

Nabywcy, którzy wpłacili po 120 fls za tom mogą odebrać nadwyżkę tzn. 20 fls od tomu w kasie Wydziału Informacji i Oświaty. Nadwyżki nie odebrane będą uważane za zaliczki na następne tomy, które ukazać się wkrótce.

Wspomnienia



Od owego pamiętnego dnia wielkie na pozór zmiany zaszyły w życiu Józefa Gletza — majstra wielkich zakładów włókienniczych w Łodzi. Ot, po prostu zaczął się podpisywać: Joseph Gletz i z piersi zdjął odznak świadcząca o przynależności do narodu „Untermenschów”. Jak dawniej, co rano szedł do fabryki, gdzie przez dwadzieścia godzin wydawał dyspozycje, naprawiał uszkodzone maszyny, obliczał akordowe zarobki robotników... Tylko, że teraz robotnicy w rozmowach z nim stali się sztywni, urzędowi, nieprzystępni. Gdy zbliżał się, cichy prowadzone półgłosem rozmowy. Siedzieli pod pozorem choroby, pilnych zajęć, bólu głowy wykręcając się zaczęli od codziennej partyjki preferka, jedynej wieczornej rozrywki starego kawalera. Zniknął wreszcie, i to go najbardziej boleło, zalotny uśmiech z ust panny Haliny Florek, młodej urzędniczki, bezpośrednio podwładnej obecnego „Volksdeutscha” — Josepha Gletza, w której potajemnie się kochał.

Gletz kilkakrotnie próbował wyjaśnić swoje postępowanie, czy to Halinie, czy też któremuś z bardziej zaufanych robotników. Ilekroć jednak usiłował nawiązać rozmowę na ten temat, zagadnięty pod jakimkolwiek pretekstem przerywał ją odwołując się czym prędzej.

Gletz był przekonany, że decyzja jego była w pełni uzasadniona. Sam nie mógł sobie nie zarzucić. Nie pchał się, nie prosił o wpisanie na listę „Volksdeutschow”. Po prostu pewnego dnia wezwany został przez dyrektora, który oświadczył mu, że jak same nazwisko wskazuje, jest z pochodzenia Niemcem, że zresztą według niezaprzeczonych danych w domu jego rodziców mówiono wyłącznie po niemiecku. Była to wprawdzie dla Gletza rewelacja, nie śmiał jednak zaprzeczyć groźnemu zwiernikowi. Dał mu wreszcie dyrektor niedwuznacznie do zrozumienia, że w wypadku odmowy, nie tylko pożegnać się musi z rodziną, ale i przygotować na perspektywę zapoznania się z „rozkoszami obozu koncentracyjnego”. Napomknął też dyskretnie, że jako niezastąpiony fachowiec w przedsiębiorstwie pracującym dla armii nie musi się obawiać zmobilizowania. Nie było wyboru — podpisał. Wprawdzie kolega Jankowski, którego matka była Niemką i stary Ślązak — buchalter Mroczek, który przed wojną tak szczylił się zdobytym nad Marną „Żelaznym Krzyżem”, kategorycznie odmówili.

— Cóż jednak komu z tego — tłumaczył sobie Gletz — że gniją oni teraz gdzieś w Oświęcimiu, czy innym Dachau?

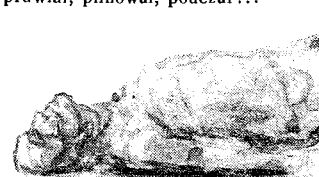
Gletz, jak dawniej tak i teraz, czuł się Polakiem. Z trudem porozumiewał się w swym nowym „ojczyźnie” języku. Nadal z zainteresowaniem śledził wypadki wojenne, z radością dowiadując się o wrastających kłopotach swych „volks” braci. Jednakże teraz zdany był wyłącznie na niemiecką prasę. Wiadomości radia londyńskiego, obiegające fabrykę pantoflową pocztą, stały się dla niego niedostępne.

Czując się wyklętym wśród Polaków, usiłował stary majster zbliżyć

się do nielicznych Niemców pracujących w fabryce. Ci jednak nowopieczonemu „Volksdeutscha” traktowali nadal z pogardliwą wyniosłością „Swoim człowiekiem” stał się Gletz jedynie dla Gestapo. Często stały się wizyty agentów, którzy indagowali go o nastroje i poglądy robotników i kolegów. Początkowo narzucona mu rola konfidenta nie była zbyt trudna. Aktywni działacze robotniczy i urzędniczy, albo nie wrócili do Łodzi po okresie zamieszania wojennego, albo też dawno już podzielili los Jankowskiego i Mroczka. Agenci dawali się „zbywać” zdawkowymi zapewnieniami o pełnej lojalności personelu fabrycznego. Gdy jednak wykryta została afera starego robotnika Jodzkiego, kolportera prasy podziemnej, w którą wmięszanych było kilkudziesięciu robotników, Gletz wysłuchał musiał srogiej reprymendy, popartej groźbą, że jeśli podobne wypadki ujdą jego czujności, zarezerwowane dla niego zostanie miejsce w Oświęcimiu.

Szukając ucieczki od dręczącej samotności, wzrastających obaw i nadchodzących refleksji, Gletz rzucił się w wir pracy. Po szesnastu, osiemnastu, dwadzieścia godzin przesiadywał w fabryce. Klepał, naprawiał, popędzał robotników... Jednaś ma to uznanie dyrekcji. Nie zmniejszało jednak podejrzliwości Gestapo i zwiększało niechęć podwładnych.

Dziwne rzeczy dziać się zaczęły w fabryce z chwilą, gdy otrzymała ona nowe wielkie zamówienie dla wojska. Ze względu na potrzeby wojsk marzących wśród rosyjskiej zimy, zamówienie wykonane być miało w rekordowym tempie. Gletz z zapalem wziął się do pracy. Jak na złość robota się nie kleiła. Psuły się warsztaty, rwaly się wątki, mnożyły się braki. Gletz biegał jak oszalały — naprawiał, pilnował, pouczał...



Defekty stawały się częstsze, a przymusowe postoje powszednim zdarzeniem. Gletz, który początkowo kładł wszystko na karb złosiwego chochlika, pogodzić się musiał z tezą dyrektora, że na terenie fabryki działa zorganizowany sabotaż. Usunęło kilkadziesiąt bardziej podejrzanych robotników, którymi zaopiekowało się Gestapo. Nadal jednak robota szła jak z kamienia. Na większe redukcje nie można było sobie pozwolić, gdyż trudno było znaleźć na miejsce usuniętych wykwalifikowanych następców.

Dawno minął już termin wykonania zamówienia, a ledwie trzecią jego część dostarczono władcom wojskowym i to w gatunku dalekim nawet od najprymitywniejszych wojennych wymagań.

Dla Gletza nastały teraz ciężkie czasy. Agenci mundurowi i niemund-

urowi kręcili się po fabryce patrząc wszystkim na ręce. Coraz częściej do uszu jego dochodziły wymyślenia: „polnische Schweine”, odgłosy policzków i szturchanów wymierzonych starym robotnikom, z którymi przepracował już dziesiątki lat. Ofiarą hitlerowskiej brutalności padła również Halina. Stary patrzył na to z bezsilną wściekłością. Sam wysłuchiwać musiał coraz ostrzejszych gróźb od dyrektora i przedstawicieli Gestapo. Dwoił się, troił, pracował jak wół. Na pozór był poza wszelkimi podejrzeniami, a jednak pozycja jego w fabryce była zupełnie zachwiana. Trzymał się na posadzce jedynie dla tego, że nie chciał się podjąć zastąpienia go wtedy, gdy stary fachowiec, znający każdą śrub-



kę w maszynach, nie mógł sobie poradzić z mnożącymi się defektami.

Chwilami wściekłość Gletza kierowała się przeciwko zwierzchnikom, przeciwko Gestapo, przeciwko samemu nawet Hitlerowi. Snuły mu się po głowie fantastyczne plauy zamachów. Kiedy indziej znów całą złość kierował na bezpośrednich sprawców jego obecných nieszczęść. W takim momencie, gdyby udało mu się schwycić sabotażystę, z zimną krwią poddałby go najwymyślniejszym torturom.

Wreszcie bomba pękła.

Rano wezwany został do gabinetu dyrektora, gdzie siedziało już kilku spawanych Niemców w blyszczących od odznak mundurach Gestapo. Za komunikowano mu, że na terenie fabryki działa rozgałęziona organizacja polskich terrorystów, na

której czele stoi najbliższa jego współpracowniczka Halina Florek. Gletz onieamiał... Próbował wyjąkać coś w jej obronie. W tej chwili jednak posypały się groźby i wymyślenia pod jego adresem. Zarzucono mu, że sam współdziałał z sabotażystami, że wpisał się na listę „Volksdeutschow”, by odwrócić od siebie podejrzenia, że co najmniej wreszcie przez swoje niedbalstwo i pobłażliwość dopuścił, by wśród najbliższego jego otoczenia rozpanoszyli się terroryści.

Nagle potężny huk wstrząsnął murami fabryki. Wszyscy podbiegli do okien. Wielki magazyn surowców, stojący na uboczu, płonął. Korzystając z powstałego zamieszania, Gletz wypadł z gabinetu. Biegnąc na salę fabryczną. Halina Florek stała przy oknie, spokojnie przyglądając się rozrastającemu się pożarowi. Dopadł do niej.

— Panno Halino, wszystko wykryte! Uciekać! — rzucił jej gwałtownie.

Po za sobą usłyszał ciężkie kroki biegnącego. Odwrócił się raptownie. Naprzeciw niego stał dygnitarz hitlerowski z rewolwerem w ręce.

Nim gestapowiec zdążył dokończyć słów: „Hände hoch!”, za pleców Gletza padł strzał. Niemiec wypuścił rewolwer i upadł na ziemię. Jednocześnie jednak wszystkie wejścia zarożyły się od hitlerowskich mundurów. Panna Halina strzelała dalej. Kilka nacię rewolwerów skierowało w jej pierś. Gletz zasłonił ją własnym ciałem. Poczuł dotkliwy ból w okolicy serca. Padając oparł się o framugę okna. Kanonada zwiększała się z każdą chwilą. Strzelało od drzwi hitlerowcy. Kilka nacię rewolwerów przyżyło w ich kierunku zza bali towarów.

— Skąd oni mają broń? — przemknęło przez myśl rannemu — codziennie w bramie rewizja.

W tym momencie stracił przytomność. Gdy się rozbudził, na sali panował już spokój. Z oddali dobiegały odgłosy pojedynczych strzałów i gwałtownych nawoływań. Z trudem rozejrzał się wokoło. Leżał u posadzce w kałuży krwi, obok niego leżała panna Halina, której z głowy i piersi obficie broczyła krew. Myśl Gletza zaczęła gwałtownie pracować. Uświadomił sobie, że minuty jego życia są policzone. Przez mózg przesuwały się zaczęły obrazy z ostatniego okresu jego życia. Teraz, w obliczu śmierci, stary majster rozumiał, że podpisując „świśtek papieru”, popełnił zdradę.

— A jednak rację mieli Jankowski i Mroczek — przebiegło mu przez myśl.

Jedno miał już tylko przedśmierne pragnienie: uzyskać rozgrzeszenie z ust tej, która ze skromnej urzędniczki urosła w jego oczach do poziomu bohaterki.

Stygającymi wargami wyszeptał: „Przebac”.

Na ustach Haliny wykwił, tak dawno przez niego niewidziany, uśmiech. Poruszyły się wargi dziewczyny, nie mogąc już jednak wydać dźwięku.

Stary majster Józef Glec skonał z uśmiechem na ustach. W kilka chwil po nim Halina Florek wyzionęła ducha.

Kei.

W Redakcji „Orla Białego” są do nabycia portrety p. Prezydenta, Wodza Naczelnego i gen. Andersa, wykonane na kredowym papierze, wielkość 23 × 29 cm. po cenie 30 fls za sztukę.